Walter M. Miller

Tajemnica kopuły śmierci

(Secret of the Death Dome)

Amazing Stories, January 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Marsjanie przybyli prosto z nieba w ogromnej kopule i wylądowali na pustyni, żeby obserwować. Ziemia stała się ich ogrodem zoologicznym, a kopuła była niemożliwą do pokonania klatką. A przynajmniej tak wydawało się początkowo. Potem w Salonach Człowieka zaczęły rozchodzić się szepty, że to Ziemia była klatką, a kopuła *Zewnętrzem*. Kiedy Człowiek rzucił się na kopułę z bezsilną furią, zamieszkujący ją ludzie przyglądali się temu ze swej niezdobytej twierdzy, ziewając z nudów.

Cel ich misji był niejasny. Nie atakowali. Nie składali też żadnych ofert przyjaźni. Przez dziesięć lat po tym wydarzeniu, Ziemia była jak dom o szklanych ścianach. Człowiek czuł się w tej sytuacji nieswojo, ale żył bez żadnych specjalnych zmian. Chłopcy, którzy w czasie lądowania mieli po jedenaście lat, dorastali z nieustannym złowieszczym cieniem kopuły nad głową. Byli już zmęczeni słuchaniem tego wszystkiego. Żenili się i mieli dzieci. Marsjanie? No i co z tego?

Stan wojny pozostawał czystą teorią. Marsjanie zachowywali się w sposób, który usprawiedliwiał wojnę. Chwytali ciekawskich i wykorzystywali ich jako okazy do badań. Kopuła stała się celem dla najlepszego uzbrojenia Ziemi. Jej obrona miała charakter pasywny. Po prostu nie można było jej w żaden sposób uszkodzić. Wrogość Marsjan najwyraźniej wynikała tylko z ciekawości. Kiedy nawet bomby wodorowe okazały się nieszkodliwe, Ziemianie czerwoni ze wstydu zaprzestali dalszych ataków, żeby oszczędzić sobie zażenowania. Z powodu braku lepszych możliwości, zaczęli ignorować kopułę.

Wojskowi jednak pozostawali czujni. W bezpiecznej odległości od kopuły wyrastały całe miasteczka zamieszkałe przez naukowców i ludzi patrolujących otaczającą ją pustynię. Mieli stałą pracę – rutynową pracę za rządowe pensje.

I wtedy właśnie Barney Willis powrócił z pustyni i umarł. Kolejny okaz dla Marsjan. Umarł na obrzeżach miasteczka. Masterson, kowal, widział jak spada z konia i leży na drodze. Dostrzegł mundur patrolu specjalnego – niebiesko-szary – trzepoczący na gorącym wietrze dolatującym sponad pustyni. Wyszedł na dwór i sprawdził mu puls na nadgarstku; potem wezwał pułkownika.

Pułkownik wysłał Jerry'ego Harrisona, żeby przyjrzał się temu wszystkiemu. Jerry był tylko sierżantem, ale nie było potrzeby angażowania w to jakiejś wysokiej szarży. Zdarza się, że szeregowi giną. A śmierć Barneya, chociaż stanowiła nieszczęście dla jego żony, nie była niczym nowym. Oczywiście pułkownik pamiętał również, że Barney był najlepszym przyjacielem Jerry'ego – był tak dobrym przyjacielem, że nie przestali się przyjaźnić nawet kiedy Barney ożenił się z dziewczyną Jerry'ego. Wielki blondas Barney, z nieodłącznym głupkowatym uśmiechem i szczupły, twardy Jerry o gniewnych oczach – nierozłączni

kumple. MacPearson, prowadzący tawernę, kiedyś dla żartu połączył łańcuchem ich stołki barowe. Coś w rodzaju ceremonii małżeńskiej, jak oznajmił.

Jerry dotarł do Barneya, kiedy wokół zmarłego zaczął już się zbierać tłum. Barney leżał zupełnie bezwładnie. Pusta twarz wyglądała dziwnie bez jego nieodłącznego uśmiechu. Odsunąć się! Zrobić miejsce dla patrolu specjalnego! Niech ktoś przyniesie światło! Jest już prawie ciemno, a on musi wszystko dokładnie widzieć!

Nigdzie nie było widać krwi. Ciało było ciągle ciepłe – za ciepłe, jeszcze rozgrzane przez pustynię i słońce.

— Kobiety, proszę się odsunąć — warknął Jerry. — Muszę rozluźnić mu ubranie. To może nie wyglądać zbyt przyjemnie.

Kobiety wycofały się do zewnętrznego kręgu.

— Jak długo jeszcze będziemy musieli to znosić? — zaczął się ktoś dopytywać.

— A ja mówię, zmieść ich z powierzchni ziemi — oznajmił pulchny człowieczek w biznesowym garniturku.

Jerry rozpiął koszulę martwego człowieka. Żadnych ran na piersiach. Być może brzuch. Może pożyczyli sobie jego wątrobę, żeby zobaczyć w jaki sposób działa. To byłoby w ich stylu.

— Zmieść tę kopułę na dziesięć lat świetlnych w kosmos! — kontynuował pulchny człowieczek. — Jeśli nie potrafimy jej zmiażdżyć, to możemy przynajmniej posłać ją na pół drogi do piekła!

— A czym będziemy wtedy oddychać, kiedy zabraknie powietrza? — spytał czyjś spokojny głos. — Cząsteczkami alfa? Czy wie pan ile uranu…

Jerry rozpiął pas martwego człowieka, a potem szybko zapiął go z powrotem, żeby gapie nie zobaczyli tego co on. Mężczyźni z Ziemi zabawnie traktują pewne rzeczy, a już szczególnie w tłumie. Mogliby sformować pochód i ruszyć przez pustynię na kopułę. Głupi żyjący, kochający, nienawidzący ludzie.

— Co się mu stało, panie sierżancie? — spytał pulchny człowieczek.

Jerry wstał trzymając Barneya w ramionach.

— Nie żyje. To wszystko. — Potem jeszcze dodał: — Porażenie słoneczne, proszę pana.

Była to prawda. Barney musiał zostawić swój kapelusz w kopule. Ale zostawił tam coś jeszcze. Zamknęli mu ranę dziwną, białą błoną, której używali przy operacjach chirurgicznych, tak że nie było krwi. Ale tłum nie musiał o tym wiedzieć.

Jerry zaniósł go na tył swojego kombi i ruszył w stronę kwatery głównej. Cieszył się, że Barney zostawił tam swój kapelusz. Barney też by się cieszył. Na szczęście umarł. Ponieważ nie był już mężczyzną. A Betty była młoda i zdrowa jak ryba. I lojalna. Nie opuściłaby go aż do samej śmierci. Przeniosłaby się do innej sypialni, żeby oszczędzić mu zażenowania; ale zajmowałaby się przyrządzaniem mu obiadków,

śpiewając podczas pracy. Taki już miała charakter. Barney by tego nie wytrzymał.

Znając Barneya, Jerry był zaintrygowany. Dlaczego w ogóle próbował wrócić?

Kiedy pułkownik Beck spoglądał nad ramieniem koronera na leżące na stole pod jaskrawo świecącą lampą ciało, jego brzydka, kanciasta twarz miała swój zwykły wyraz zapiekłej nienawiści. Odwrócił się, żeby obrzucić gniewnym spojrzeniem Jerry'ego, który siedział przygnębiony przy drzwiach.

— Sierżancie, czemu oni, u diabła, zrobili coś takiego? — ostro warknął.

Jerry tylko pokręcił głową.

Pułkownik zaklął cicho i spojrzał z powrotem na ciało.

— Można by pomyśleć, że wiedzieli o tym, że on właśnie wziął ślub. Myślicie, że oni… — Przerwał i zmarszczył z zastanowieniem brwi. — Tylko jak do jasnej cholery ci przeklęci bezpłciowi Marsjanie mogliby o czymś takim pomyśleć? Zrobić z chłopaka eunucha i odesłać go do domu, do jego świeżo upieczonej żony. To mnie zastanawia, sierżancie.

— A skąd pan wie, że oni nie mają płci?

— Do diabła, człowieku! Ich transmisje z kopuły! Nie słyszeliście o nich?

Jerry wiedział o co mu chodzi. Marsjanie władowali się na pasma komunikacyjne aby zadawać pytania na temat ziemskiej biologii i innych spraw, których nie mogli poznać poprzez sekcje na tubylcach. W zamian oferowali informacje o społeczeństwie Marsa i marsjańskiej wiedzy naukowej. Rząd w końcu polecił, aby przekazywano im nie-tajny materiał, a nadziei że dzięki temu zaprzestaną brutalnych wiwisekcji. Zamieszkujący kopułę ludzie odpowiedzieli radiowymi wykładami odnośnie marsjańskiej historii, psychologii i fizjologii. Tylko ile z tego było prawdą?

— Prześladuje mnie jedna rzecz — wymamrotał Jerry. — Dlaczego Barney w ogóle wrócił – w takim stanie.

Pułkownik parsknął obojętnie.

— Może miał coś do powiedzenia. Może dowiedział się czegoś ważnego, co chcielibyśmy wiedzieć. Może…

Pułkownik przerwał mu zniecierpliwiony.

— Ruszcie głową, sierżancie — powiedział. — Marsjanie umieją zetrzeć ludzki umysł jak kredę z tablicy. Żaden z tych, którzy wrócili od nich żywi, nie potrafił przypomnieć sobie niczego na ich temat. Nawet, jak oni wyglądają. Przecież wiecie o tym! Robią z człowiekiem co chcą i na koniec wybierają mu z głowy wszystkie wspomnienia, jak pchły z psiej sierści.

To była prawda. Yonkers, który zostawił w kopule swoje nogi, pamiętał tylko, że był na patrolu i mijał jakąś sterczącą skałę. Dalej jego pamięć urywała się jak nożem uciął. Później przypominał sobie jeszcze pobyt w ciemnym pomieszczeniu, którego sufit położony był tak nisko, że musiał się pochylać. I znów wspomnienia się urywały. Pamiętał intensywny ból i

uczucie odcinania nóg, ale nie towarzyszył temu żaden obraz wzrokowy. Marsjanie wydłubali sobie z jego pamięci dokładnie te obrazy, których nie chcieli tam pozostawić.

— Może wiedział lub widział coś, o czym nie wiedzieli oni — zasugerował Jerry.

— To głupie!

— Dlaczego więc wrócił?

— Człowieku, bo chciał żyć!

Ze świeżo upieczoną żoną? W takim stanie? Pułkownik nie znał Barneya, tak dobrze jak Jerry.

Koroner określił przyczynę śmierci jako udar słoneczny, i nie było sensu przeprowadzać autopsji.

— Sierżancie Harrison — oznajmił słodkim tonem pułkownik. — Wyznaczam was, byście się dowiedzieli co według was on zobaczył. Jutro weźmiecie jego trasę patrolową.

Jerry skinął głową. I tak miał zamiar o to poprosić. Ale pułkownik Beck był zły. Właśnie stracił zwiadowcę. Dobrzy zwiadowcy byli rzadkością. Nie mógł odpłacić za to Marsjanom, a więc wyładował się na Jerrym. Jednak Jerry nie miał nic przeciwko otrzymanemu zadaniu.

— Sprawdzicie swoją małą teoryjkę, sierżancie — kontynuował przesłodzonym tonem pułkownik. — Zbliżycie do samej kopuły. Poszperacie tam trochę. Może szturchniecie ich lekko kijem. Nie zapomnijcie swojej lornetki.

Jerry zesztywniał. Żaden jeździec nigdy nie zbliżył się do nich aż tak bardzo – z własnej woli. Tylko piechota i czołgi.

— Myśli pan, że się boję? — spytał.

— Mam to gdzieś czy boicie się, czy nie — warknął pułkownik Beck. — To jest rozkaz!

Jerry wstał, żeby wyjść.

— Tak jest, panie pułkowniku. Zobaczymy czego się dowiem.

Sadystyczne zapędy pułkownika nie zostały jednak jeszcze w pełni zaspokojone.

— Jeszcze jedna sprawa, sierżancie — oznajmił. — Zabierzecie Willisa do domu, do żony.

— Panie pułkowniku!...

— Zadzwonię do niej, oczywiście – i wpadnę do niej jutro, żeby złożyć wyrazy szacunku. Ale zabierzcie go do domu. Budynek więzienia to nie miejsce dla zmarłych ludzi, którzy mają rodzinę. Jutro możemy sprowadzić balsamistę spoza miasta.

— Wolałbym raczej nie...

— Sierżancie! Nie musicie jej mówić, co oni mu zrobili. Po prostu udar słoneczny, to wszystko.

Nie było możliwości żadnej dalszej dyskusji. Jerry niechętnie wykonał rozkaz. To nie będzie miłe zadanie – odstawienie Barneya do Betty. Przez całą drogę jechał tak wolno, jak tylko się dało.

Prześladowały go nieustannie dwa pytania. Pułkownika i jego własne. Jak tego rodzaju amputacja mogła przyjść do głowy pozbawionym płci Marsjanom? Oraz – dlaczego Barney wrócił – chyba że się czegoś

dowiedział? Było tu dużo możliwości, ale żadna z nich nie wydawała się satysfakcjonująca.

Dom Barneya był podobny do wszystkich pozostałych stojących szeregiem obok niego – konstrukcja rządowa – biały dom na drewnianym szkielecie, z pokrytymi winoroślami ścianami. Jedna rzecz była w nim odmienna – kobieta, która go prowadziła. Kiedy podjechali, stała w drzwiach wejściowych – blada, o twarzy pełnej napięcia, ponura i piękna. Silna dziewczyna. Nie należała do tych, które płakałyby bezradnie, pogrążone w smutku. Jerry znał ją dobrze – za dobrze. Usiądzie, będzie rozmyślać i nienawidzić. Pozostanie wdową dopóki Marsjanie nie zostaną wypędzeni z Ziemi.

Jerry i kapral przenieśli nosze przez chodnik. Barney był przykryty prześcieradłem. Przytrzymała im otwarte drzwi.

— Daj spokój, Jerry — powiedziała, kiedy otworzył usta. — Pułkownik do mnie dzwonił.

Nie ma sensu się na to skarżyć, mogłaby jeszcze dodać. *Zrobił dla Ziemi wszystko co mógł*.

Położyli go na łóżku i kapral wrócił do samochodu. Betty pochyliła się nad ciałem w mroku napływającego przez okno wieczoru. Jej szczupłe palce ledwie musnęły żółte włosy męża. Ciemne włosy przykryły jakby zasłoną twarz kobiety, tworząc czarną kurtynę przesłaniającą jej policzki, kryjącą wszelkie uczucia. Potem pocałowała Barneya – lekko – tak jak mogłaby pocałować dziecko. Jerry zadrżał. Dziecięcy pocałunek. Nie można było całować go jak mężczyznę, nawet po śmierci. Nie po tym, co oni mu zrobili.

Odwróciła się do Jerry'ego, ale w przyćmionym świetle nie mógł dojrzeć jej oczu. Dzięki Bogu za to! Wystarczająco bolesne było już tak po prostu na nią patrzeć; kochał ją na długo wcześniej niż Barney.

— Kiedy w końcu wyrównamy z nimi rachunki, Jerry? — Głos Betty był lodowaty.

Zemsta – wymysł ziemskich kobiet. Dobra, stara Ziemia, z jej smutkiem, jej wściekłością i jej gorącą nienawiścią. Marsjanie nie potrafili odczuwać takich nielogicznych emocji – a przynajmniej tak twierdziły ich przekazy.

— Bardzo mi przykro, Betty — odparł słabo. — Ja jestem tylko zwiadowcą, a nie senatorem.

Popatrzyła na niego przez brzemienną milczeniem chwilę. Potem odwróciła się w drugą stronę.

— A ja jestem tylko kobietą.

Ton jej głosu uderzył go jak policzek. Było w nim cale mnóstwo treści – pogarda, nienawiść, determinacja.

Wyszedł tak szybko, jak tylko mógł. Odesłał kaprala, aby odprowadził samochód i w poświacie księżyca ruszył piechotą do domu.

Marsjańska kopuła błyszczała lekko w oddali, nad pustynią. Wysoka, dumna, zła. Lśniła w blasku księżyca. Jakie prawo mieli Marsjanie, aby

wygrzewać w świetle ziemskiego księżyca? Minął małżeństwo, z dwójką małych dzieci – być może wracali do domu z kina. Życie toczyło się dalej; nic więcej nie można było zrobić. Zaś kopuła obserwowała je.

Para z dziećmi przypominała mu Barneya. I Betty. Była zbudowana jakby do rodzenia dzieci. Efektywnie skonstruowana…

Jerry nagle poczuł do siebie nienawiść za te myśli, które zaczęły wypełzać z głębi jego jestestwa. A niech to diabli! Nie mógł nic poradzić na to, że tak czuje. Ludzkie id ma ciało porośnięte kudłami i nosi kamienny topór; nigdy nie słyszało o jakichś prawach moralnych.

Marsjanie nie mieli id – tak przynajmniej twierdziły ich wykłady. Ich mózgi działały na poziomie całkowicie świadomym.

Zatrzymał się w Tawernie, żeby napić się piwa. MacPearson dostrzegł, że wchodzi i przecisnął się wokół baru, żeby odpiąć łańcuch łączący jego stołek ze stołkiem Barneya. Ale Jerry zauważył, że to robi. Kiedy wszedł do środka, w sali zapadła głucha cisza i tylko parę głosów wymamrotało do niego, kiedy przechodził obok:

— Bardzo mi przykro…

Zajął miejsce i gwar rozmów ponownie wypełnił pomieszczenie. Przez chwilę przysłuchiwał się gniewnym głosom:

— Zebrać cały uran jaki jest na Ziemi i wysadzić tę kopułę do diabła!

To była odwieczna dyskusja i Jerry'ego brało już obrzydzenie, kiedy musiał jej ponownie wysłuchiwać. Jak się pozbyć kopuły. Próbowano ją wysadzić, zbombardować, zagazować i zarazić dżumą. Ale głos z kopuły przez radio, tylko składał bombardującym gratulacje, z powodu ich celności – na częstotliwości dowodzenia samolotu. I dziękował im uprzejmie – a może złowieszczo – za możliwość takiego wglądu w militarną wiedzę Ziemi. Kopuła pozostawała nienaruszona.

— Pompować im przez cały czas luizyt w otwory wentylacyjne. Ich filtry powietrza nie mogą wytrzymać wiecznie.

Jerry popatrzył z niesmakiem na mówiącego. Ale człowiek ten był za bardzo zainteresowany wygłaszaniem swoich opinii, żeby to spostrzec. Wszyscy mieli jakieś pomocne sugestie; ale nikt nie był na tyle szalony, żeby wydać miliony dolarów i poświęcić życie milionów istot ludzkich. Pomimo wszystko, kto zginął? Tylko paru zwiadowców. Wszyscy czuli intelektualny gniew; ale nikt nie czuł go głęboko w piersi. Może poza Betty.

A Jerry?

Czemu Jerry miałby być wściekły? Teraz miał przynajmniej szansę na zdobycie wdowy po Barneyu. Czy to nie było po prostu wspaniałe?

Odepchnął od siebie piwo i szybko wyszedł z baru. Poszedł do domu, do świeżego, czystego łóżka. Z pustyni dolatywał wiatr, niosący ze sobą znajomy zapach… zapach czegoś co robili Marsjanie. Nie pozwalał mu on zasnąć.

Cztery przecznice dalej stało inne łóżko – w którym leżał martwy człowiek. A Betty spała na leżance. Życie toczyło się dalej. I śmierć.

Chociaż, to zabawne – Marsjanie nie umierali. Po prostu zapadali w sen i dzielili się na połowy, jak ameby – a potem było ich dwóch. Zachowywali wspomnienia swojego pozbawionego płci rodzica. A czemu nie? Był to ten sam mózg, podzielony między nich. Tak przynajmniej głosiły wykłady. Czy to nie byłoby zabawne gdyby można było pamiętać, jak czyjś tysiąc-razy-pra pradziadek rozbijał maczugą głowę swego brata? I, być może, kradł mu żonę?

Betty. Ciągle myślał o Betty. *Kiedy w końcu wyrównamy z nimi rachunki, Jerry*? Zemsta. Ziemska do szpiku kości Betty, wykarmiona zbożem, i wychowana na powszechnych, starych ziemskich standardach. Ciemnowłosa mała żmijka, która mogła kochać lub ukąsić.

Czy ona myślała, że jej nienawiść będzie czymś lepszym od bomb wodorowych?

A czy on nienawidził tych wielkich różowych cielsk w kopule? Z czerwonym paskiem przez środek, w miejscu, w którym się dzieliły? Bezgłowych stworzeń z garbami na plecach, mieszczącymi puszki mózgowe. Uwielbiały, kiedy je głaskano po tej linii – tak twierdziły ich wykłady. Być może kłamały. Może właśnie nie znosiły, kiedy je głaskano po pasku. Może dostawały szału, kiedy ich się tylko dotknęło. Wszyscy wierzyli w te wykłady. Rysowali szkice Marsjan na podstawie przekazanych opisów. Ale czemu wykłady miałyby kłamać w tak trywialnych sprawach?

Marsjanie byli tacy uprzejmi. Dziękowali zwiadowcy, kiedy wyrywali mu oko, żeby zobaczyć jak ono działa. Nie żadni oprawcy – po prostu ciekawi. A kiedy inżynierowie wydrążyli w tajemnicy krater pod kopułą, żeby umieścić w nim parę bomb wodorowych, kopuła uniosła się z krateru i wylądowała jakąś milę dalej, ignorując cały ten incydent jak wielka dama ignoruje pijaka.

Jerry nie mógł zasnąć. Usłyszał jak Minnie niespokojnie porusza się w swoim boksie. Naciągnął buty i wyszedł, żeby dotrzymać klaczy towarzystwa. Może chciało jej się pić. Zapomniał ją napoić.

Ale dziesięć minut później, osiodłał ją. Zebrał swoje rzeczy osobiste, usiadł w znajomym siodle i pokłusował na zachód w świetle nocnego księżyca. Kopuła lekko połyskiwała w oddali. Nie miał żadnych planów, co dalej robić. Był to po prostu impuls.

Jechał przez dwie godziny, aż w dotarł do szeregu stalowych słupów, wyznaczających pięciomilowy okrąg wokół kopuły. Była to strefa dla zwiadowców, objeżdżał ją tysiące razy. Ściągnął wodze i zaczął się przyglądać półkulistej fortecy. Jej nieprzenikalna powierzchnia migotała lekko w srebrzystym świetle, jak asfalt na drodze w upalny dzień. Być może była to tylko kwestia pustynnego powietrza. Albo może rację miał ten profesor z Princeton, głosząc teorię że metalowe poszycie kopuły otoczone było polem, zwiększającym do niesamowitych rozmiarów siły oddziaływań międzycząsteczkowych.

Kopuła zdawała się spokojnie drzemać w blasku oświetlającego ją księżyca. Ale Jerry wiedział, że czuwała i czujnie obserwowała otoczenie.

Potrafiła dostrzec nawet pojedynczego jeźdźca na granicy strefy zwiadowczej. Mogła go bez trudu pożreć, jeśli tylko będzie miała na to ochotę. Nie czuła jednak przy tym ani gniewu, ani rozbawienia. Jedynym jej niebezpiecznym uczuciem była ciekawość.

Ile dni będzie musiał się wokół niej kręcić, zanim Marsjanie się zaciekawią? Albo będą potrzebowali kolejnego okazu badawczego. Potem wyrwą mu serce, lub zainteresują się jego korą mózgową. Ewentualnie zrobią mu to, co zrobili Barneyowi. Nic na to nie mógł poradzić.

Zeskoczył z konia i usiadł za osłoną krawędzi stromego wzgórza, żeby pomyśleć. Skryty w cieniu czuł się pewniej. Nie było innego wyjścia – musiał wykonać swoją robotę. Po prostu będzie krążył wokoło i miał nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży.

Wkrótce zapadł w drzemkę. Zbudził go odgłos cichego uderzenia. Poderwał się. Kolejne głuche stuknięcie. Nie dolatywało z żadnego określonego miejsca. Bardziej je wyczuwał, niż słyszał. Rozchodziło się zarówno po ziemi jak i w powietrzu. Nagle wiedział już, co to było. Coś podobnego przydarzyło się kiedyś jednemu staremu poszukiwaczowi skarbów. Podszedł za blisko do kopuły i mówił potem, że poczuł coś w rodzaju głuchego stukania w powietrzu, które narastało i narastało, aż wreszcie pozbawiło go przytomności. Opowiadał o tym tuż przed śmiercią na skutek krwotoku mózgu.

Stuk! Stuk!

Cofnął się i zaczął szukać jakiejś kryjówki. Minnie zarżała i szarpnęła się na postronku. Stukanie wywoływało lekkie kłucie w kościach.

Stuk! Stuk! Stuk!

Tym razem mocniej. Rzucił się w stronę klaczy. Ale Minnie cofnęła się z kwiknięciem i wyrwała koniec sznura ze skały. Ruszyła galopem w kierunku domu.

Łomotanie ustało, tak jakby osiągnięty został cel, dla którego zostało użyte. Marsjanie odpędzili jego konia. Dlaczego?

Rozejrzał się dookoła. Schował wcześniej za krawędzią wzgórza swojego automatycznego Thompsona i walkie-talkie. Ale przy końskim siodle zostały dwie manierki z wodą.

Zastanawiał się nad wezwaniem pomocy przez radio. Ale w nocy nikt nie nasłuchiwał na tej częstotliwości, poza Marsjanami. Będzie musiał poczekać aż wstanie dzień, albo spróbować wracać na piechotę. Tylko, że jeśli Marsjanie chcieli go dopaść, próba pieszej ucieczki nie uda mu się. Mogli go zwalić z nóg puknięciem, albo szturchać kłującymi żądłami wyładowań, które uderzały od strony przeciwległej od kopuły, zmuszając wrzeszczącą ofiarę do szybkiego biegu w jej stronę, aby uniknąć intensywnego piekącego bólu przez nie powodowanego.

Usiadł więc ponownie za stromym zboczem wzgórza, aby poczekać na świt. Tak intensywnie wpatrywał się w znienawidzoną twierdzę wroga, że kiedy zamknął powieki, nadal przed oczyma miał jej obraz.

Niebo zaczęło coraz bardziej szarzeć, aż w końcu poczerwieniało na wschodzie. Kopuła przybrała kolory wschodu słońca. Wezwał punkt kontroli. Radio milczało. Pół godziny później spróbował ponownie – tym razem z właściwym skutkiem.

— Zwiadowca Trzy z Punktu Kontroli. Co się stało, Jerry? Twój koń przykłusował do miasteczka o szóstej rano.

— Marsjanie go przepędzili. Wyślijcie tu kogoś z luzakiem. Sześć mil na wschód od kopuły.

Do rozmowy wtrącił się zimny, metaliczny głos.

— To nie będzie konieczne. To nie będzie konieczne.

I to wszystko. Kopuła odezwała się i ponownie zapadła w milczenie. Jerry oddychał ciężko do mikrofonu, ale nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Ze strachem spoglądał na kopułę. Chcieli go. Nie było sensu przysyłać kolejnego konia.

Dyspozytor przyciszył głos, tak jakby mogło ich to uchronić przed podsłuchaniem przez Marsjan.

— Siedź tam w pogotowiu, Jerry. Natychmiast kogoś do ciebie wyślemy. Wyślemy wszystkich, którzy nie wyruszyli na poszukiwania Betty Willis.

Jerry natychmiast odzyskał głos.

— Czyje poszukiwania?

— Betty Willis. Mogła postradać zmysły. Siedziała przez całą noc z ciałem męża. Kiedy rano wrócił twój koń, zadzwoniła do pułkownika i powiedziała, że to jej wina. Że coś ci powiedziała. Ktoś ją potem widział, jak wyjeżdżała konno galopem z miasta. Musiała wyruszyć na bezdroża, inaczej wzięłaby samochód.

Metaliczny głos ponownie się wtrącił:

— Powiedzcie nam dlaczego kobieta zareagowała w ten sposób. Powiedzcie nam dlaczego zachowuje się nielogicznie.

Dyspozytor zaczął przeklinać i kończąc serię inwektyw wypuścił ze świstem powietrze.

— Bo nienawidzi kopuły — wysyczał Jerry do mikrofonu. Nie miał nic do stracenia, zaryzykował więc bezczelność. — A teraz wy nam powiedzcie jedną rzecz. Dlaczego zrobiliście to jej mężowi?

Głos odpowiedział spokojnie i szybko.

— Chcemy przebadać ludzkie mechanizmy dziedziczności. Chcemy stworzyć ludzki organizm. Próbowaliśmy już wcześniej, ale bez sukcesu. Tym razem nam się uda.

Wzrok Jerry'ego zaszedł mgłą przetkaną czerwonymi błyskami nienawiści. Stworzyć ludzki organizm!

— Dlaczego po prostu sobie jakiegoś nie pożyczycie? — wydyszał. — Na przykład mojego.

— Dziękujemy bardzo. Ale chcemy dokonać kilku zmian w jego konstrukcji. Dziękujemy bardzo.

Jerry odrzucił walkie-talkie na bok i wstał. Po chwili jednak podniósł je, aby przekazać ostatnią wiadomość dyspozytorowi.

— Kiedy znajdziecie Betty, powiedzcie jej, że niedługo wyrównamy rachunki.

Potem cisnął radiem o kamienie. I z pistoletem maszynowym pod pachą rozpoczął wędrówkę w kierunku kopuły.

Był w stanie kompletnego amoku. Wiedział o tym. Don Kiszot. Przeklęty głupiec. Mogli go zabić w każdej chwili. Miał zamiar zginąć. Głupio. Zupełnie za nic. Nie mógł nawet liczyć na to, że jego śmierć będzie miała jakiekolwiek znaczenie. A jednak szedł dalej.

Stworzyć ludzki organizm!

A Pan Bóg stworzył człowieka z gliny i błota. I dmuchnął mu w twarz ożywczym oddechem. A człowiek stał się żywą istotą. Może to nie była prawda. Ale brzmiało to dużo lepiej niż sposób, o którym mówili Marsjanie.

Bezsilność ludzkiego gniewu! Doskonale zdawał sobie z niej sprawę. To tylko nasilało jego gniew jeszcze bardziej. Brak znaczenia jego gestu. Tego ponurego marszu w kierunku wszechpotężnego wroga.

Radio nadal działało. Daleko za sobą słyszał dobywające się z niego głosy. Dyspozytor wykrzykiwał jakieś podekscytowane pytania. Marsjanie dopytywali się o nielogiczne zachowanie.

Dlaczego go nie zastrzelili? Albo nie walnęli go tym stukającym ustrojstwem. (Czy to było jakieś urządzenie podźwiękowe?)

Iskierka rozsądku w głowie Jerry'ego mówiła mu, żeby wracał. To zdrowe miejsce w jego umyśle przemawiało chłodno, logicznie. Ale nie potrafiło przejąć kontroli nad jego furią. Przez lata objeżdżał krąg, w każdej chwili zdając sobie sprawę z tego, że to kompletny bezsens. Mysz podkradająca się do tygrysa. Głupia dumna fanfaronada małego Ziemianina, zdanego na łaskę kopuły. Coraz bardziej narastała w nim złość i frustracja. Aż w końcu gniew ten zerwał tamy i wezbrał strumieniem nienawiści. Szedł więc coraz dalej.

W ciągu dwóch godzin znalazł się w zasięgu strzału z pistoletu maszynowego, od kopuły. Stanął, aby wsunąć pięćdziesięcionabojowy magazynek do swej broni. Nikt poza piechotą i czołgami nigdy wcześniej tutaj nie dotarł. Tamci atakowali kopułę zupełnie bezproduktywnie. Zamknęła się w swej skorupie i zasnęła, podczas gdy oni próbowali przebić się przez nieprzeniknione – co?

Wyglądało to jak zwykła stal. Ale diamenty nie były w stanie jej zarysować. Uran nie mógł nawet jej wygiąć. Kwas był wobec niej bezradny. W ciekawy sposób, nie przewodziła elektryczności ani ciepła; Marsjan nie dało się upiec. Jej przewodnictwo cieplne zostało oszacowane – na około jednej miliardowej BTU na godzinę na stopień Fahrenheita, na stopę sześcienną. Przy tego rodzaju izolacji, można by przez sporą chwilę posiedzieć na powierzchni Słońca.

Jerry wystrzelił w kierunku kopuły serię, tak by choć trochę rozładować frustrację. Pociski nigdy od niej nie rykoszetowały. Przywierały do jej powierzchni jak żelazne opiłki do magnesu. Może ten profesor z Princeton miał rację. Taki metal nie istniał.

No cóż, był gotów. I kopuła także. Dlaczego więc nie wyszli z niej i nie złapali go? Co prawda, oni nigdy nie wychodzili. Nawet pustynia była zbyt wilgotna, jak na ich gust. Wilgoć wywoływała u nich swędzenie. Tak podawały wykłady.

Teraz już był w stanie myśleć nieco bardziej spokojnie. Musieli mieć jakiś powód, żeby kazać mu podejść tak blisko. Może chcieli obserwować gniewne reakcje. Marsjanie nie potrafili odczuwać gniewu. Wykłady – do diabła z wykładami! Może chcieli wyrwać mu na wierzch nadnercza, żeby przyjrzeć się jak one działają.

Może kiedy zobaczyli jak tak chodzi bezradnie dookoła, wzbudziło to w stosunku do niego jakieś cieplejsze uczucia. „Nadciąga wróg, ale tu, w naszym igloo, jest nam przyjemnie i ciepło."

Słońce zaczęło zalewać teren rzeką gorąca. Błyszczało na szklistej ziemi, w miejscu gdzie uran stopił skały. Kiedyś te tereny służyły jako pastwiska – bardzo kiepskie, prawdę mówiąc, ale porośnięte rzadką trawą. Jednak ta część pustyni już od dziesięciu lat nie widziała deszczu. Od czasu przybycia Marsjan. Tak jakby Matka Ziemia zmieniła swoje warunki pogodowe dla wygody Marsjan. Ale meteorolodzy twierdzili, że to przypadkowy zbieg okoliczności.

Zaczął chodzić wokół kopuły. Wiedzieli, że tu jest. Obserwowali go w milczeniu. Nie uznali nawet za stosowne wciągnąć podpór, na których wspierała się kopuła. Spoczywała ona na trzech grubych łapach, jej płaskie dno unosiło się trzy stopy ponad powierzchnią pustyni. Kiedy podchodziła piechota, łapy były wciągane i kopuła osiadała na spodzie. Kiedyś opadła na grupę żołnierzy. Wpełzli pod nią, aby znaleźć otwory wentylacyjne, przez które można by wpompować do środka gaz. Marsjanie najwyraźniej uprzątnęli zwłoki żołnierzy, wykorzystując je pewnie do badań, ponieważ ziemia pod kopułą była pusta i nie było widać żadnych kości.

Zaczął krzyczeć na nieprzyjacielską twierdzę.

— Wyjdźcie i złapcie mnie, wy przeklęte bękarty! No, wyjdźcie!

Oczywiście nie mogli mu odpowiedzieć, ponieważ wyrzucił swoje radio. Nie mieli strun głosowych. Ale ich ciała mogły generować fale radiowe i modulować je, zgodnie z ich wolą. Wykłady głosiły, że ich połączenia synaptyczne działały tak szybko, że byli w stanie postrzegać każdy oddzielny puls częstotliwości głosowych. I duplikować je dokładnie przy pomocy modulacji fali nośnej. W taki właśnie sposób porozumiewali się między sobą. Potrafili zmieniać moc swojej emisji od szeptu do setek watów.

— A niech was wszyscy diabli! Zróbcie coś w końcu! — krzyczał bezradnie.

Pustynia milczała, a kopuła migotała w gorącym powietrzu. Obejrzał się za siebie, w kierunku miasteczka. Do kręgu zwiadowczego zbliżał się samotny jeździec. Teraz, to już za późno.

Słońce prażyło nie do zniesienia. Suche gardło Jerry'ego rozpaczliwie domagało się wody. Już od dłuższego czasu tak krążył bez celu, przeklinając i wystrzeliwując w stronę kopuły serie z automatu.

Do diabła, jeśli oni nie chcą wyjść po niego, to on spróbuje dostać się do środka! Pod dnem kopuły musiały być jakieś otwory wentylacyjne. Cisnął na ziemię pistolet maszynowy i wsunął się pod kopułę. Logicznym miejscem, któremu należałoby się przyjrzeć, był środek. Ale wymagało marszu na czworaka przez pół mili. Ruszył z determinacją do przodu, poruszając się na dłoniach i kolanach.

W miarę jak przemieszczał się coraz dalej, powoli i z bólem, pogłębiała się ciemność, zaś białe światło pustyni zmieniło się w jaskrawą, świecącą w oddali wstążkę. Szaleństwo za szaleństwem. Marsjanie bawili się z nim. A on ochoczo ruszył prosto w ich pułapkę. Kiedy zajdzie już dostatecznie daleko pod kopułą, zaczną ją opuszczać – powoli, tak żeby zaczął uciekać w bezpieczne miejsce. Potem, kiedy już niemal wydostanie się spod niej, zmiażdżą go jej płaskim spodem. Zaczął doświadczać klaustrofobicznych uczuć.

A ja jestem tylko kobietą, Jerry. Pogarda Betty stała się biczem, który pogonił go dalej. Chociaż może w jej tonie wcale nie było pogardy, słyszał ją raczej w głosie swego własnego sumienia. Dlaczego ludzkości brakuje odwagi, żeby cokolwiek zrobić?

Nagły ostry kwik zmroził jego ruchy. Dobiegał gdzieś z tyłu. Daleko z tyłu. Rozpoznał w nim kwik, jaki czasami wydają konie w chwili śmierci. Zmroził mu krew w żyłach. W stronę kopuły zmierzał za nim jakiś jeździec. Marsjanie zabili zwierzę… i może również i jeźdźca.

Ruszył dalej.

Nieustannie uderzał w wiszące nad nim dno kopuły. Czy to kopuła się opuściła, czy to wzniósł się poziom gruntu? Odczuwalna temperatura metalu wydawała się być zbliżona do temperatury ludzkiego ciała – pozornie. Działo się tak, dlatego że nie przewodził on ciepła, zgodnie z teorią uczonego z Princeton. Fizycy twierdzili, że temperatura metalu kopuły zbliżona była do zera absolutnego, ponieważ jego cząsteczki utrzymywane były ściśle w swoich miejscach przez nacisk pola siłowego, które jak sądzono, emitowane było z wnętrza. Cząsteczki nie mogły nawet wpadać w drgania wywoływane energią cieplną. Co więc się stanie, jeśli pole zostanie nagle wyłączone? Kielich wina wylany na roztopioną stal?

Ręce i kolana zaczęły mu krwawić poranione szorstką ziemią. Ale kiedy zbliżył się do środka kopuły, poczuł silny ruch powietrza. Niedaleko musiał być otwór wentylacyjny.

Odnalazł go, poruszając się zgodnie z wiatrem i obmacując spód dłońmi. Nic nie widział, poza pierścieniem białego światła wokół obrzeża kopuły.

Znalazł go – i serce mu zamarło. Otwór był chroniony przez ciężkie żaluzje, zamontowane parę cali w jego wnętrzu. Wyczerpany położył się pod wentylatorem. Powiew powietrza otoczył jego ciało. Wystrzelił w głąb otworu krótką serię, ale nic się nie działo. Trochę ogłuszającego huku i rozbłysków rozświetlających przez chwilę otaczającą go ciemność. To wszystko.

Leżał cicho, zbierając siły i czekając.

Łup! Łup!

Poczuł przebiegające przez jego ciało wstrząsy i zdrętwiała mu jedna ręka. Na bliskim zasięgu stożek soniczny był wąski. Nie trafił w jego ciało. Marsjanie strzelali na oślep. Szybko rozejrzał się wokół siebie. Coś przerwało cienki pierścień światła. Czyjaś postać! Poruszała się o kilka stóp od niego.

Przetoczył się i wystrzelił do niej z automatu. Coś załamało się i upadło na ziemię. Potem rozległ się metaliczny huk zatrzaskującego się włazu. Podpełznął do swego celu i ostrożnie zaczął go obmacywać. Gorące, szorstkie niewielkie ciało. Twarde jak gumowa opona. Ale w gumie były dziury, broczące gęstym, lepkim płynem, który zaczął zastygać w suchym powietrzu. Ciała Marsjan zbudowane były z suchych mięśni.

Ale, czy to był Marsjanin? Oglądał ich szkice, sporządzone na podstawie opisów podawanych w wykładach. Szkice były zupełnie błędne. Mógł to powiedzieć, od razu po obmacaniu ciała. Błąd miał charakter ilościowy. Szkice prezentowały ogromne stworzenia o grubych kończynach. Ta martwa istota była koścista i raczej niewielka. Wykłady kłamały. Dlaczego? Czyżby Marsjanie bali się ich, pomimo swej nieprzeniknionej kopuły?

Zapalił zapałkę i przyjrzał się ciału. Wrzecionowate, różowe, pozbawione głowy stworzenie, którego mózg znajdował się w wybrzuszeniu na plecach. Linia podziału stanowiła jaskrawą czerwoną bliznę biegnącą wzdłuż wybrzuszenia i dookoła ciała pod brzuchem, dzielącą Marsjanina dokładnie na pół.

Zanim zapałka zamigotała i zgasła mu w palcach, dokonał jeszcze jednego odkrycia. Wykłady kłamały nie tylko w jednym miejscu. Twierdziły, że Marsjanie byli bezpłciowi. A martwe stworzenie, w oczywisty sposób było płci żeńskiej!

Zaskoczyło go to. Mogli próbować skryć za kłamstwami swoją słabość. Ale dlaczego kłamali w sprawie płci?

Dzielili się, jak głosiły wykłady, to prawda. Mieli tę czerwoną bliznę. Ale także dwie płci. Samice prawdopodobnie musiały zostać zapłodnione zanim mogły się podzielić. A samce, być może, w ogóle nie były w stanie się dzielić. Wówczas samce nie miałyby blizny, albo tylko śladową.

Tylko skąd ta tajemniczość?

Przesunął się z niepokojem w ciemnościach i uderzył głową w dno kopuły. Jego ręce wystrzeliły do góry i naparły o nie dłońmi, jak u Atlasa utrzymującego niebo.

Zdusił w gardle krzyk przerażenia.

Kopuła opadała. Jej spód obniżał się powoli, ale zauważalnie. Pustynia znajdowała się w odległości pół mili od niego.

Podpełznął z powrotem do otworu wentylacyjnego i zaczął szarpać rękoma za żaluzje. Były zbudowane z wzmacnianego przez pole metalu. Ale znajdowały się parę cali w głębi kanału wentylacyjnego. Gdyby położył się dokładnie pod nim, przedłużyłby życie o kolejną minutę lub dwie, zanim nie zostałby pocięty na zgrabne kawałki.

Przeklął swoją głupotę. Przeklął pułkownika Becka i Marsjan. Pomyślał o rzuceniu klątwy na Betty, ale wycofał się z tego. Nic nie mogła poradzić, że musiała powiedzieć coś takiego.

Ponownie wystrzelił serię w chmurę kurzu. Bez efektu. Zaczął wykrzykiwać w czarną dziurę obraźliwe inwektywy. Kopuła opuszczała się bez chwili przerwy.

— Przybyłem tu, żeby z wami negocjować! — zawołał w rozpaczy. — Przysłał mnie nasz rząd.

Opuszczanie kopuły trwało nadal, ale po chwili z głośnika zatrzeszczał monotonny głos:

— To stwierdzenie jest nieprawdziwe. Obserwowaliśmy twoje działania. Wypowiedziałeś nieprawdziwe stwierdzenie.

Głos był zimny i uprzejmy.

Wywrzeszczał kolejne przekleństwa na ich głowy.

— Twoje emocje są interesujące — zauważył głośnik. — Rejestrujemy twoje wyrażenia dźwiękowe. Czy mógłbyś nas poinformować, kiedy zaczniesz odczuwać ból?

Zapadł w milczenie. Żaluzje znajdowały się już tylko jakieś dwie stopy nad powierzchnią gruntu. Próbował wkopać się w ziemię, ale była ona spieczona i sucha. Podmuch powietrza ustał, ponieważ skrzydła wentylatora zostały zatrzymane. Potem usłyszał powolny zgrzyt jakby zamykającego się nad nim włazu. Sięgnął palcami przez żaluzje i poczuł, że ich metalowe szczęki zasuwają się razem. Zatrzymały się jednak i pozostały uchylone. Marsjanie pozostawili wąski otwór, tak by mogli słyszeć i zarejestrować jego wywołane bólem wrzaski.

Dno zaczęło dociskać go do ziemi. Leżał płasko na plecach i próbował nie krzyczeć ze strachu. Za jakąś minutę lub dwie, poczuje uchwyt miażdżących kleszczy. Martwy Marsjanin, który nie leżał pod wentylatorem, już został w nie pochwycony. Słyszał odgłosy pękających kości, które wydawało jego ciało i wilgotny syk, gdy pękła jego torba powietrzna. Ściśnięty jak kwiat między stronicami książki.

Żaluzje dotknęły go lekko. Zawołał w głąb kanału wentylacyjnego, aby nie krzyczeć ze strachu.

— Mówiłem wam, że przysłał mnie rząd, abym negocjował!

— To nieprawdziwe stwierdzenie. Odrzuciliśmy wszystkie takie oferty. Wypowiedziałeś nieprawdziwe stwierdzenie.

Nacisk zaczął odbierać mu oddech.

— Nie takie nieprawdziwe, jak te przeklęte kłamstwa z waszych wykładów.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

— Proszę, czy mógłbyś to powtórzyć?

Powtórzył ostatnie zdanie najwyraźniej jak tylko potrafił.

Nastąpił kolejny okres ciszy, w czasie którego napór przestał narastać.

— Czy mógłbyś wyjaśnić, znaczenie swoich słów? — spytał chłodno głos z głośnika. — I podać nam przyczyny takiego przekonania?

Jerry zaczął opowiadać, by kupić sobie kilka minut życia.

— Jesteście istotami płciowymi, tak samo jak Ziemianie. Wasze przekazy okazały się kłamstwem.

— Jaka jest przyczyna takiego przekonania?

— Barney powiedział nam, zanim umarł. Stało się to powszechnie przyjętą wiedzą.

Marsjanie najwyraźniej myśleli dosyć powoli. Powoli, ale dokładnie. Wkrótce przypomną sobie o martwej kobiecie pod kopułą.

— To nieprawdziwe stwierdzenie. Pamięć zwiadowcy została przesiana przed jego wypuszczeniem.

Nacisk ponownie zaczął narastać.

— Zobaczył coś, o czym nie wiedzieliście, że widział! — wrzasnął Jerry.

Stopniowo nacisk ponownie zelżał. Nastąpiło długie milczenie. Najwidoczniej musieli to głęboko przemyśleć. Czekał. A potem…

Łup, łup… doleciało z wentylatora.

Łoskot poraził mu zmysły. Wił się bezradnie i jęczał. Czuł, że zaraz pęknie mu głowa.

ŁUP, ŁUP, ŁUP, ŁUP…

Zwinął się i skulił pod potężnymi uderzeniami. Zdawało mu się, że eksplodują one w samym środku jego głowy. Nabierały coraz szybszego tempa.

PUK PUK PUK PUK PUK…

Z wdzięcznością poddał się fali ciemności.

Obudził się w jakimś ciemnawym pomieszczeniu. Skóra na całym jego ciele była poobcierana i obolała. Usta miał zupełnie suche i odrętwiałe z pragnienia. Sufit znajdował się na absurdalnie małej wysokości – ale wystarczająco wysoko jak na potrzeby postury Marsjan. Ewidentnie znajdował się we wnętrzu kopuły.

Poruszył się. Przeszył go ból, jakby tysiąca igieł. Owinięty był cienkim jak nitka drutem kolczastym. Każdy ruch powodował, że w ciało wbijały się ostrza malutkich szpileczek. Poruszył się ponownie i zajęczał.

— Nie ruszaj się — oznajmił mu głos. — Drut jest pokryty czynnikiem drażniącym. Każdy silniejszy ruch spowoduje na tyle duży ból, aby wywołało to utratę przytomności.

Jerry ostrożnie wykręcił głowę chcąc zobaczyć źródło z którego dobiegał głos. Było to jego walkie-talkie! Leżało na niskim stole. Obok

niego stała jedna z marsjańskich kobiet. Wyglądało to, jakby obserwował brzuchomówcę.

— Twoje stwierdzenie było nieprawdziwe — mówiła dalej Marsjanka. — Zwiadowca nic nie powiedział. Po prostu obejrzałeś ciało Yy-Da pod wentylatorem. Zwiadowca umarł zanim zdołał porozmawiać z innym Ziemianinem.

— Z jakiego powodu tak myślisz?

— Przesłuchaliśmy innego jeńca.

Jerry uważnie obserwował kobietę. Wydawała się nie czuć gniewu ani smutku z powodu swej martwej współrodaczki. Przycupnęła w dziwacznej marsjańskiej postawie, a jej podobne do owadzich oczy spoglądały na niego pustym wzrokiem. Czerwony pasek biegnący przez środek jej ciała, wywoływał wrażenie, jakby ktoś ją rozciął na pół mieczem.

— Kim jest ten jeniec? — spytał.

— To ziemska kobieta. To kobieta zwiadowcy. Ona…

— Dobry Boże, Betty!

— To prawdziwe stwierdzenie.

Szarpnął się wściekle w stronę Marsjanki. Spokojnie przyglądała się, jak wyje z bólu i sztywnieje w bezruchu, kiedy wężowe kły drutu wbiły się w jego ciało. Wstrząs wywołał u niego mdłości. Druty były gorsze niż rój rozwścieczonych os.

— To było nielogiczne działanie.

Gorąco pragnął, aby zatrzymali swoje analizy jego zachowania, dla siebie.

— Co chcecie z nią zrobić? — wyjęczał.

— Potrzebujemy części ludzkiego organizmu, jako modeli. — Przerwała na chwilę, a potem dodała: — To nieefektywna i nielogiczna procedura. I tak nic nie zapamiętasz, z tego co ci powiem. Dlatego wypytując mnie, tracisz tylko czas.

Ponownie przetestował działanie drutów i skrzywił się z bólu. Mógłby je zerwać – ale prawdopodobnie kosztem natychmiastowych konwulsji. Marsjanie ewidentnie mieli wielki szacunek dla bólu. Nie spodziewali się by czegoś takiego spróbował. Może zemdleje, ale kiedy nadejdzie odpowiednia chwila…

Zauważyła, że sprawdza swoje więzy.

— Czynnik drażniący powoduje także osłabienie — oznajmiła. — Jeśli nadal będziesz się szarpał, staniesz się za słaby aby w ogóle się ruszyć. To byłoby nielogiczne.

Poczuł ogromną suchość w ustach.

— Czy mógłbym dostać trochę wody? — spytał.

Zawahała się przez chwilę, a potem powłócząc nogami, wyszła w milczeniu z pomieszczenia. Ostrożnie spróbował wyślizgnąć się z luźno otaczających go więzów. Ale druty przywarły do jego skóry jak taśma klejąca. Wkrótce nadeszło cierpienie. To nie miało sensu. Upewnił się, że nagłe szarpnięcie wszystkich mięśni, zerwałoby je, ale było jeszcze za wcześnie aby tego próbować. Nie miał żadnego planu. Żadnego sposobu ucieczki.

Marsjanki nie było przez długi czas. Wpatrywał się w walkie-talkie. Batty prawdopodobnie znalazła je i zabrała ze sobą, zanim ją złapali. Być może chciała użyć radia do wezwania pomocy – co nie mogło przynieść dobrych skutków.

Marsjanka przyszła z powrotem, przynosząc kulkę wielkości piłeczki pingpongowej wypełnioną brudną cieczą. Przymocowana do niej była elastyczna rurka. Trzymała kulkę z dala od siebie, z niesmakiem, a koniec rurki był zamknięty na zacisk. Przypomniał sobie, że Marsjanie pili mniej więcej raz w miesiącu. Woda wywoływała u nich świerzbienie, poza chwilą, kiedy ich układy wewnętrzne okresowo wymagały jej niewielkiej ilości.

Wypił wodę jednym, szybkim haustem. Zostawiła mu osad na zębach. Pełno w niej było żelaza – prawdopodobnie woda z Marsa. Dziesięcioletnie zapasy, przy tak niewielkim spożyciu, stanowiłyby dosyć lekki ładunek. Kiedy skóra zaczynała im drętwieć, wiedzieli że są spragnieni – jak głosiły wykłady. Pili niewielkie ilości wody, drapali się z zadowoleniem, a następnie byli zniesmaczeni sobą samymi i odstawiali ją na kolejny miesiąc.

— Potrzebuję wody — powiedział. — Całego wiadra.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym.

— Trzeba będzie zabrać cię do wody. Nie ma dostępnego aż tak dużego pojemnika.

Obawiała się nawet bliskości wody. Najwidoczniej nawet najmniejsze ślady wilgoci powodowały świerzbienie.

Rozluźniła druty pętające Jerry'emu nogi, smarując mu skórę jakimś przezroczystym olejkiem, powodującym że dawało się je łatwo i bezboleśnie odsunąć. Wypatrywał okazji, żeby kopnąć ją w puszkę mózgową. Zaczął mówić, dla odwrócenia jej uwagi.

— A co macie na składzie dla mnie, Gertrudo?

— Chcemy prześledzić połączenia synaptyczne, które odpowiadają w organizmie ludzkim za wściekłość, żądzę i nienawiść.

— Nie zrozumiałem tego.

— Pewne obszary twojej kory mózgowej zostaną sparaliżowane. Potem otrzymasz różne bodźce, a twoje zachowanie w reakcji na nie, będzie obserwowane. Znajdziemy obszary wpływające na te emocje, których my nie posiadamy.

Wstępnie przymierzył się nogą w środek jej korpusu.

— Jakiego rodzaju bodźce?

— Takie, które normalnie wywołują odpowiednio wściekłość, żądzę lub strach. To będzie wymagało znacznych ilości czasu. Twój mózg stopniowo ulegnie zniszczeniu.

Zatrzymał nogę nieco dłużej z tyłu.

— Żądzę?…

— Zapomniałeś, że mamy jedną z waszych kobiet. Zostaniesz zamknięty razem z nią, w tym samym pomieszczeniu. Logiczne funkcje twojego mózgu zostaną sparaliżowane…

Wyrzucił nogę do przodu. Pochwyciła ją w swe pazury i bez trudu zmusiła go do postawienia jej na podłodze. Chude ręce Marsjan były całkiem silne.

— Takie zachowanie będzie skutkować przedłużaniem się pragnienia — ostrzegła go spokojnie.

Zaprzestał oporu. Owinęła mu drutem szyję i przymocowała koniec do jego kolan, tak że musiał iść skurczony i drobniutkimi kroczkami. Wyciągnęła niewielkie urządzenie, wyglądające jak aparat fotograficzny i wycelowała je w stojący na stole pojemniczek na wodę, a następnie nacisnęła dźwignię. Piłeczka pingpongowa wybuchła, rozpadając się na drobny proszek, a pomieszczenie wypełniło ciche puknięcie. Było to przekonywujące przypomnienie lania, jakie dostał pod kopułą.

— Pójdziesz przodem — oznajmiła i zabrała radio ze stołu.

Wyszli na korytarz. Idąc nim sporadycznie mijali obojętnych Marsjan. Jerry'emu udało się na tyle wykręcić szyję, aby na każdego z nich rzucić przelotnie okiem – wszyscy byli płci żeńskiej. Być może kobiety były u nich robotnicami.

— Kiedy się napijesz, zostaniesz uśpiony do czasu aż będziesz potrzebny — przekazała mu jego strażniczka. — Oszczędzimy ci wszelkiego bólu, poza niezbędnym dla naszej pracy.

— To miło z waszej strony, Gertrudo.

— Dziękuję.

Rzucił w jej stronę przekleństwo i oczekiwał puknięcia ze strony niesionego przez nią urządzenia. Nie okazała jednak gniewu.

Weszli do dużego okrągłego pomieszczenia, o wypukłym suficie. Pewnie był to wierzchołek kopuły. Rozejrzał się dokoła, najdokładniej jak tylko mógł. Maszyny. Ciężkie, skomplikowane maszyny o masywnej konstrukcji. W pomieszczeniu czuć było dziwny, cuchnący odór, który czasami docierał z wiatrem aż do miasteczka. Niektóre z maszyn były osłonięte ołowianymi pancerzami. Prowadziła od nich w stronę sufitu wiązka rur. Rury miały formę żółtych spiral, świecących słabymi wyładowaniami jonizacyjnymi. Być może jakiegoś typu falowody. Wszystkie one, zanim zaczynały kierować się spiralnie ku górze, przechodziły przez ogromny elektromagnes. W pobliżu sufitu, prostowały się i każda rura promieniowała w coś w rodzaju płaskiego zwierciadła, które skupiało promieniowanie, kierując je do góry. Próbował prześledzić bieg rur w drugą stronę, do miejsca z którego wychodziły.

— Proszę, abyś poruszał się nieco szybciej — oznajmił głośniczek radia. — I patrzył przez cały czas na podłogę.

Marsjanie nie chcieli, aby dokładniej obejrzał sobie te maszyny. Rury rozjaśnione poświatą zjonizowanej plazmy – czy one przekazywały pole na zewnętrzną powierzchnię kopuły? A gdyby pole zostało nagle wyłączone…

Rzucił kolejne spojrzenie w stronę elektromagnesu.

Puk! Marsjanka dała mu lekkiego kuksańca ze swojej broni sonicznej. Zatoczył się. Druty boleśnie wbiły mu serię igieł.

— Proszę patrzeć na podłogę.

Utkwił więc wzrok w podłodze i szedł we wskazanym przez nią kierunku. Zobaczył już wszystko co chciał. Wszystkie rury przewodzące kończyły się w sferycznej skorupie, otoczonej całkowicie przez orurowanie w złotym kolorze.

Przeszli do innego korytarza. Nadal nie widział żadnego Marsjanina, nie płci żeńskiej. Idąc dalej minęli z boku ścianę oddzielnych komórek szklanych. Kilka z komórek było zajętych przez śpiące różowe stworzenia w różnych fazach podziału. Stwierdził, że widok ten jest odrażający.

— Gertrudo, gdzie są wasi mężczyźni? — nagle zapytał.

Zarobił kolejne szturchnięcie z jej broni. Akurat na tyle mocne, aby wywołać lekki grymas bólu. Przygryzł wargę z gniewu.

— Nie zadawaj więcej pytań — poleciła Marsjanka.

Były więc dwie rzeczy, o których miał niczego nie wiedzieć – maszyny i płeć Marsjan. Czyżby jakieś dwie słabości?

Weszli na wąski pomost i znaleźli się koło dużego cylindrycznego zbiornika. Zbiornik ustawiony był na podporach nad jakiegoś typu mechanizmem obrotowym, znajdującym się pod pomostem. Wychodziły z niego biegnące w dół rury. Można było wyczuć unoszące się nad maszyną gorące prądy powietrza. Najwidoczniej zbiornik służył albo do kondensacji albo do chłodzenia płynu. Obudowa maszyny jarzyła się ciemną czerwienią rozgrzanego metalu.

— Oto jest woda. Teraz będziesz pił.

Znalazła elastyczny wąż z zaworem, a potem rozluźniła drut wokół jego szyi i wcisnęła mu koniec węża do ust. W jednej ręce trzymała broń wycelowaną w jego brzuch, a drugą położyła na zaworze. Nie chciała by rozlała się choćby kropla drażniącego ją płynu. Woda była gorąca, ale pił ją łapczywie. Kiedy zaspokoił pierwsze pragnienie, wypełnił sobie nią usta i policzki. Skinięciem głową zasygnalizował, że skończył. Zakręciła zawór.

— A teraz pójdziemy — powiedziała, kiedy odwiesiła wąż.

Teraz albo nigdy! Wypluł na nią całą wodę z ust. Zmoczyła ona jej wysuszoną skórę. Skuliła się. Pukająca broń wystrzeliła i wyładowanie soniczne odrzuciło go na bok. Z radia doleciały bełkotliwe wrzaski. Zaczęła drapać się po całym ciele i upuściła broń.

Szarpnął za druty. Wbiły się w jego ciało. Nagły ból, który go przeszył, był szalony. Wrzasnął i upadł. Pochwyciły go gwałtowne wymioty. Zawroty głowy. Omdlenie oznaczało śmierć. Zwijał się we wszystkie strony na czworaka, zdzierając z siebie klejące się druty. Opadły mu z pleców, a on czuł się tak, jakby zerwał z nich swoją własną skórę.

Znalazł pukającą broń i wziął ją niepewnie w dłonie. Gertruda wykonywała na podłodze jakieś wężowe skręty.

Wycelował w zbiornik i nacisnął spust. Nawet rysy. Na broni było pokrętło zmieniające ustawienia. Przekręcił je do samego końca i wystrzelił ponownie. Odrzut wywołał ból w nadgarstkach, zatoczył się do

tyłu, wytrącony z równowagi. Tym razem na cylindrze pojawiło się wgłębienie. Zaczął strzelać bez przerwy i wgłębienie powiększyło się.

Na pomoście za nim zadźwięczały szybkie szurające kroki. Marsjanie! Nadal koncentrował się na wgłębieniu. Robiło się coraz większe. W końcu metal się poddał i ze zbiornika wytrysnął wąski strumień brudnej wody.

Skraj wyładowania sonicznego dosięgnął go od tyłu, upadł na twarz, na wpół przytomny. Ale słyszał gniewny syk strumienia wody, który spadł na rozgrzaną do czerwoności maszynę. Buchnęły nad nim falujące obłoki pary. Jerry rozejrzał się słabo wokół siebie, aby zobaczyć Marsjanina pędzącego w przerażonej ucieczce przed zbliżającym się do niego oparem.

Przez chwilę leżał zbierając siły. Pierwsza potyczka została wygrana. Teraz musiał znaleźć Betty.

Gertruda zwinęła się w kłębek i zapadła w śpiączkę. Może nawet umrze, jeśli jej krystaliczna skóra nasiąknie wodą. Potrzebował jej pomocy. Przypiął sobie walkie-talkie do pasa.

Złapał ją za dwupalczastą stopę i pociągnął po pomoście. Wzdłuż ścian i podłogi kłębiły się obłoczki pary. Skręcił za róg i stanął przed szklanymi drzwiami, obok których znajdował się posterunek dla strażnika. Strażnik uciekł z niego pośpiesznie, szukając bardziej suchego klimatu. Za drzwiami znajdował się niewielki pokoik, z mniejszymi drzwiczkami po przeciwnej stronie. Miejsce dla strażnika sugerowało, że to cela więzienna. Wciągnął bezwładną Marsjankę do pokoiku.

Mniejsze drzwi były zamknięte. Nacisnął znajdujący się na nich przycisk. Zawył jakiś silnik. Poczuł nagły podmuch powietrza. Pokoik był śluzą powietrzną. W uszach mu pstryknęło przy zmianie ciśnienia. Przez parę chwil sapał, ciężko chwytając powietrze. Ale drzwi na korytarz zablokowały się automatycznie. Znalazł się w pułapce.

Nagle ruch powietrza ustał. Silnik zatrzymał się z jękiem. Potem małe drzwi powoli się otworzyły.

Patrzył na duże, niesamowicie oświetlone pomieszczenie. Na jego ścianach widać było rdzawo-czerwone panoramy Marsa. Światło dawały dwa ciała niebieskie zawieszone na czarnym suficie – księżyce Marsa. Spoza łańcucha wzgórz bił w górę niebiesko-szary blask świtu. Poczuł się, jakby przeniesiono go na czwartą planetę. Skopiowana została nawet rzadka, sucha atmosfera. Z trudem łapał oddech.

Ale kobieta szybko zaczęła okazywać oznaki powrotu do życia. Wciągnął ją do środka dużego pomieszczenia. Wtedy zobaczył jego mieszkańca. Na satynowym tapczanie pośrodku pomieszczenia, leżał pogrążony we śnie inny Marsjanin. Spał, ale się nie dzielił.

Kopnął drżącą kobietę. Przestała się trząść i popatrzyła na niego bez śladu gniewu. Przez chwilę czuł wyrzuty sumienia. Jej spokojne spojrzenie było jak nadstawienie drugiego policzka; ona po prostu nie potrafiła wpaść we wściekłość. Potem przypomniał sobie, że Marsjanie nie potrafili także odczuwać litości. Kopnął ją ponownie. Zaczęła wykazywać oznaki strachu.

— Gdzie jest Betty? — zaczął ją wypytywać.

Jej puste spojrzenie stanowiło wyraźną odmowę odpowiedzi. Przestawił broń na niski poziom i potraktował jej puszkę mózgową kilku szybkimi impulsami. Radio zatrzeszczało szumem zakłóceń.

— Będzie martwa, zanim uda ci się do niej dotrzeć — zagroziła Marsjanka.

— A więc, zabiję cię już teraz — warknął ostro.

Bała się o siebie, ale widać było, że również bała się o swoją rasę. Milczała. Ustawił broń na średni poziom i strzelił jej w brzuch. Zwinęła się z bólu.

Śpiący Marsjanin poruszył się lekko. Jerry skierował broń w stronę tapczanu.

— Nie! Nie strzelaj do mężczyzny! — buchnęło głośno z radia.

Mężczyzna? Wycofał się tyłem w miejsce, z którego mógł strzelić do obojga i przypatrywał się wstającemu śpiochowi. Mężczyzna był chudy i słaby. Krystaliczna okrywa w wielu miejscach uległa wytarciu, pozostawiając gładkie place na pomarszczonej skórze. Był stary. I nie miał czerwonego paska na środku ciała.

— Powiedz mi, gdzie jest Betty!

— Będzie martwa zanim uda ci się do niej dotrzeć.

— A więc zabiję was oboje. Na pierwszy ogień pójdzie Wujek Nerwus.

Wycelował broń w chwiejącego się mężczyznę, który stał, tępo się w niego wpatrując, tak jakby nie zdawał sobie sprawy z tego co się dzieje.

— Nie! Powiem ci, gdzie ją znajdziesz! — szybko zawołała kobieta. — Nie zabijaj mężczyzny.

Zaniepokojona zerwała się na nogi i stanęła między Jerrym i starcem.

— Teraz lepiej! — rzucił ostro. — Wezwij innych. Powiedz im, żeby ją tu przyprowadzili. I żadnych sztuczek. Pozostań na tej częstotliwości i używaj ziemskiego języka.

— Oni nie mogą tu przyjść — powiedziała. — Nie są w stanie znieść wilgoci w korytarzach. Wszyscy siedzą teraz w suchych pomieszczeniach. Jeśli wilgoć pozapycha nam pory w skórze, możemy umrzeć przez uduszenie. Pobieramy tlen przez skórę. Nasze worki powietrzne służą do dostarczania wodoru.

— Nic mnie to nie obchodzi, czy oni poumierają, czy nie. Rób, co mówię.

— Jest bardziej logiczny sposób — zaproponowała. — Mężczyzna ma dwa plastikowe skafandry nie przepuszczające wilgoci, do swego własnego użytku. Założę jeden z nich i zaprowadzę cię do dziewczyny.

— I mam wejść prosto w pułapkę? Nie, dzięki. Powiedz swoim kumplom, żeby skierowali ją do centralnej siłowni. Tam gdzie są generatory pola.

Był to strzał w ciemno, ale trafił celu. Wyprostowała się i wydała z siebie zaskoczony szum zakłóceń.

Roześmiał się.

— A więc to jednak są generatory pola!

Milczała.

— Wezwij innych! — polecił.

Zaczynał już lekko się zataczać w rozrzedzonym powietrzu. Marsjanka obserwowała go uważnie, szukając oznak słabości i przeciągając sprawę najdłużej jak mogła. Posłał jej puknięcie, ale chybił. Przesunęła się nieco w jego kierunku. Chwiejąc się i ciężko dysząc, skierował broń w stronę mężczyzny.

— Wezwę innych — powiedziała szybko.

Przykucnęła jeszcze głębiej i wydawało się, że spięła się w sobie. Radio nagle zostało zablokowane przez silną emisję, a w jego głośniku zawyło sprzężenie zwrotne. Wysłany przez nią sygnał dotarł do innych. Przykręcił siłę głosu i słuchał.

— …ludzki organizm zagroził zniszczeniem mężczyzny. Nie robić krzywdy ziemskiej kobiety. Natychmiast ją uwolnić i skierować do centrali sterowania. Ludzki organizm zagroził zniszczeniem cennego mężczyzny.

— I powiedzcie jej, że ja tam na nią czekam — warknął Jerry.

Przekazała informację, podczas gdy on próbował złapać oddech.

— W porządku — rzucił ostro. — Idziemy do centrali sterowania – wy oboje, też! — Serce waliło mu jak młotem. W oczach zaczynały migotać jasne plamki.

Ponownie zatrzeszczały zakłócenia.

— Nie ma potrzeby zabierać mężczyzny — zaprotestowała. — Dlaczego chcesz go zabrać…?

— Jest dobrym zakładnikiem, słoneczko. Idziemy.

Znalazła skafandry zabezpieczające przed wilgocią i zaczęła pomagać mężczyźnie zakładać jeden z nich. Jerry czuł, że traci oddech. Puknął ich lekko wyładowaniem sonicznym. Mężczyzna skulił się.

— Założycie je… w śluzie powietrznej — wydyszał Jerry.

Przenieśli się do małego pokoiku. Uderzył w przycisk i na chwilę stracił świadomość. Ale Marsjanka nie podjęła ryzyka. Pompy zajęczały i po chwili Jerry zaczął wciągać dobre, wilgotne powietrze z korytarza. Mężczyzna zaczął się drapać i lekko podskakiwać, pośpiesznie naciągając na siebie skafander.

— Nieźle byście oberwali, gdyby złapał was deszcz — rzucił z niesmakiem Jerry.

Kobieta wzięła jego słowa na poważnie.

— Zapobiegliśmy tutaj opadom deszczu — zimno oznajmiła. — W końcu zatrzymamy wszelkiego rodzaju formy parowania wody na waszej planecie. Woda pozostanie tylko w morzach i będziemy w stanie tu wygodnie żyć.

Ponownie pochwycił go gniew. Posłał jej soniczne wyładowanie, które powaliło ja na podłogę. Otrząsnęła się i powoli stanęła prosto.

— Lepiej już chodźmy — warknął.

— Nigdy nie wydostaniecie się stąd żywi — powiedziała, przesuwając się przed niego. — Wilgotność spada.

Była to prawda. Para wodna skraplała się na ścianach i parowała ponownie, podczas gdy osuszacze powietrza pracowały w szaleńczym tempie. Kiedy przechodzili koło zbiornika, Jerry zauważył, że wyciek obniżył jego zawartość do poziomu otworu i ustał. Wkrótce Marsjanie w pełnej sile wychyną z suchych pomieszczeń – wyposażeni w potężniejsze uzbrojenie niż pistolety soniczne.

A więc chcieli zawładnąć Ziemią i zmienić ją w pustynię! Zatrzymać wodę w morzach. Uczynić lądy równie suchymi, jak na Marsie. Jerry pomyślał o wzmacnianym przez pole siłowe poszyciu kopuły. Wyłączyć pole? Kielich wina spływający w stopioną stal. Oznaczało to być może śmierć, dla wszystkich znajdujących się w środku.

A także śmierć jego i Betty. Nie był bohaterem.

Wychudzony mężczyzna zataczał się osłabiony, idąc koło kobiety. Prowadziła go pod rękę. Jerry zastanawiał się, czy wszyscy marsjańscy mężczyźni są tacy jak on – albo może był on kimś specjalnym, jakimś starym królem lub kapłanem. Wydawało się, że Marsjanie cierpią na dotkliwy brak mężczyzn.

Kiedy dotarli pośpiesznie do siłowni, Betty była w środku, sama. Spoglądała nerwowo górujące ponad nią maszyny, przy których jej niewielka postać wyglądała na jeszcze mniejszą. Zobaczyła, że wchodzą i podbiegła do Jerry'ego z wystraszonymi oczyma. Wyglądała ślicznie w jeansach i butach do konnej jazdy. Była cała i zdrowa – miała tylko czerwone pasy na rękach, po przylegających do ciała drutach. Z wdzięcznością wyszeptała kilka słów.

Chętnie by ją uściskał – i wtedy zauważył, że ona również miała ochotę na coś podobnego. Spojrzał więc na nią gniewnie. Była wdową po Barneyu.

— Co, u diabła, przyszło ci do głowy, żeby tu przyjechać? — wrzasnął na nią.

Stanęła jak wryta i wyglądała jakby ją to zraniło.

— Myślałam, że uda mi się cię powstrzymać. Sądziłam, że wyruszyłeś tu, ponieważ powiedziałam…

— Mniejsza z tym! — rzucił ostro. — Lepiej się stąd wynośmy.

— Zaczekaj, Jerry! — powiedziała z podnieceniem. — Dowiedziałam się, co oni zamierzają zrobić. Chcą podbić Ziemię i osuszyć…

— Wiem o tym. Chodźmy.

— Ale nie moglibyśmy czegoś zrobić?

Zawahał się.

— Posłuchaj, wyprowadzę cię na zewnątrz, a potem wrócę tu…

Z głośnika radia dobył się odmienny pomruk – zadowolenia. Spojrzał na Marsjankę.

— Podoba ci się ten pomysł, co, Gertrudo?

Marsjanka milczała.

— Nie ma na czasu na dyskusje, Jerry — sprzeciwiła się Betty. — A ja i tak zostaję z tobą. Możemy coś gdzieś tu rozwalić?

— Musielibyśmy poświęcić…

Nie dokończył rozpoczętego zdania. Trzy Marsjanki wpadły do siłowni i schroniły się za generatorem. Ich różowe ciała przyprószone były czymś białym – pewnie proszkiem absorbującym wilgoć. Spoza generatora wyleciała przezroczysta kulka i wybuchła im u stóp. Zaczął unosić się z niej jakiś biały opar. Marsjanka pośpieszyła jak najdalej od niego i pociągnęła za sobą mężczyznę.

— Wstrzymaj oddech — ostro krzyknął do Betty. Ruszyli za marsjańskimi zakładnikami, i wystrzelił w ich stronę sonicznego kuksańca.

Po chwili zatrzymali się i obejrzeli się do tyłu, na białą parę. Niespodziewanie rozbłysła zielonkawym ogniem i zniknęła.

— Środek usypiający — wyjaśnił Betty. — Nie chcą zranić mężczyzny.

Nagle w pomieszczeniu zrobiło się pełno Marsjan. Ruszyli wzdłuż ścian, próbując ich zajść z flanki, i Jerry zaczął pośpiesznie wysyłać wyładowania w stronę pędzących małych postaci, przeskakujących przez otwarte przestrzenie.

— Tędy! — zawołał i poprowadził Betty w kierunku złotej sfery, z której na wszystkie wychodziły strony falowody. — Ten kłąb złotych rur. To klucz do kopuły.

Nie miał czasu, na zajmowanie się marsjańską zakładniczką, ale pociągnął za sobą mężczyznę. Kobieta wysłała przez radio przeciągłe wycie i podążała za nimi w bezpiecznej odległości.

— Odwołaj swoje psy gończe, Gertrudo — zawołał do niej. — Albo wywalę wielkie dziury w waszych falowodach.

— To byłoby nielogiczne działanie — odpowiedziało mu trzymane w dłoni radio. — Cała kopuła uległaby zniszczeniu. Ty i ziemska kobieta, zginęlibyście.

Biegnąca u jego boku Betty pochwyciła go mocno za ramię.

— Zrób to, Jerry — wysapała. — Zrób to i nie przejmuj się. To warte tej ceny.

— Naprawdę chciałabyś umrzeć, kochanie? — spytał ją niepewnie.

Dotarli do podstawy sfery i przytrzymali słabnącego mężczyznę między sobą. Krąg różowych ciał z wolna zamykał się wokół nich ze wszystkich stron. Jerry nieustannie strzelał, ale żaden z jego strzałów nie miał śmiertelnych skutków. Marsjanki padały i ponownie wstawały. Ewidentnie zasilanie broni sonicznej wymagało uzupełnienia. Miał niewielki wybór. Albo zmarnuje resztki jej energii na napastników, albo zacznie strzelać do falowodów.

— Zrób to, Jerry — zaczęła go błagać. — To nasza jedyna szansa. A przynajmniej to jedyna szansa dla Ziemi.

Odsunął się trochę od sfery, aby spojrzeć w górę na falowody. Nagle wyładowanie pistoletu sonicznego trafiło go poniżej bioder i upadł turlając się na podłogę. Próbował się podnieść, ale boga kiwała mu się na boki i uginała się między kolanem i kostką. Złamana! Marsjanie ruszyli biegiem, aby go zabić. Upadł z jękiem bólu na plecy i posłał wyładowanie soniczne na przebiegający w górze fragment falowodu. Wgniotło ono lekko metal.

Fala gwałtownego wstrząsu szarpnęła kopułą. Pomieszczenie sterowni przeszył krótki ostry pisk.

Marsjanie zatrzymali się.

— Nie strzelaj po raz kolejny — buchnęło z radia. — Twój gniew zniszczy również i ciebie. To nielogiczne. Nie strzelaj.

— To odsuńcie się do tyłu — ostrzegł ich.

— Strzelaj, Jerry, strzelaj! — krzyczała Betty. — Nie zwlekaj.

Uśmiechnął się do niej blado. Nie był Samsonem – żeby zawalić sobie świątynię na głowę. Ale jeśli musiał to zrobić…

— Podejdź tutaj, Gertrudo — warknął na marsjańską kobietę i przez cały czas celował z broni do falowodu.

Szybko go posłuchała.

— Nie strzelaj. To byłoby nielogiczne.

— A więc wyprowadź nas stąd. Weźmiemy mężczyznę jako zakładnika.

— Nie. To byłoby niesatysfakcjonujące.

Parsknął na nią pogardliwie.

— Czy ten jeden żałosny mężczyzna wart jest dla was więcej niż całe wasze dzieło?

— On jest jedynym mężczyzną — odparła. — Nie zabierzesz mężczyzny…

Jedynym mężczyzną! A więc to dlatego płeć była słabością Marsjan. Jeśli cokolwiek stanie się mężczyźnie…

— Jedynym mężczyzną z całej waszej rasy? — spytał.

— Jest jeszcze dwóch innych na naszej planecie. Obaj są równie starzy jak ten. Była wielka zaraza. I od tego czasu żaden inny mężczyzna nie urodził się przez podział. Zaraza atakuje mężczyzn podczas podziału. Dowiedzieliśmy się, że wirus zarazy nie może przetrwać na Ziemi.

— A więc zdecydowaliście się przeprowadzić do nas i zająć Ziemię?

— Takie są nasze zamiary.

— Zniszcz falowód, Jerry! — błagała go Betty. — Zaczynają się coraz bardziej zbliżać.

Rozejrzał się dookoła po kręgu Marsjan. Ukradkowo przesuwali się coraz bliżej i bliżej.

Uśmiechnął się szeroko do Betty.

— Daj mi tutaj mężczyznę — zawołał do niej. — I nie zadawaj pytań.

Posłuchała, a stary Marsjanin, szarpnięty przez nią, przesunął się bez słowa protestu. Wydawało się, że nie rozumie co się dzieje.

— A więc, nie wyprowadzisz nas stąd? Z mężczyzną jako zakładnikiem? — zapytał kobietę.

— Żadna z nas tego nie zrobi, Ziemianinie. — Wykonała nagły ruch w jego kierunku.

Strzelił do niej i usiadła na podłodze, lekko porażona. Ale broń była nastawiona na pełną moc. Powinna ją zmiażdżyć.

— A teraz nie masz już dosyć energii w urządzeniu, żeby przebić falowody przewodzące pole! — oznajmiła tryumfalnie.

Marsjanie zaczęli ponownie zaciskać pierścień. Nie podobało mu się to, co miał za chwilę zrobić, ponieważ wiedział ile nieszczęścia to przyniesie. Ale pamiętał także o zapachu pola kukurydzy po deszczu, gaworzeniu szczęśliwego dziecka, o wyglądzie twarzy Betty, kiedy wychodziła za Barneya – oraz o wielu innych rzeczach na ziemi, które wiązały człowieka z jego rasą i gatunkiem, z jego wielką zieloną planetą.

Postrzelił marsjańskiego mężczyznę w brzuch. Tamten poderwał się słabowicie i zgiął się wpół. Jerry przyciągnął trzęsącego się starego stwora do swego boku.

Radio ryczało z wściekłości, a Betty mocowała się z Marsjanką. Pozostałe rzuciły się błyskawicznie na nich.

Przycisnął pistolet soniczny do puszki mózgowej mężczyzny i ponownie wystrzelił. Stworzenie upadło i znieruchomiało. Strzelał dalej, dopóki zakończone szponami dłonie nie dosięgły go i brutalnie nie odepchnęły do tyłu. Kiedy ciągnęły go po podłodze, poczuł rozdzierający ból swojej złamanej nogi. Zajęczał i zemdlał.

Kiedy odzyskał z powrotem pełną świadomość, pochylała się nad nim Betty i podtrzymywała mu głowę.

— Dlaczego one nas nie zabiją? — spytała.

Spojrzał w stronę martwego Marsjanina. Wokół jego ciała zebrał się pulsujący, drżący, rozemocjonowany krąg marsjańskich kobiet.

— Czemu nie uciekasz, dopóki jeszcze możesz? — zapytał ją w odpowiedzi.

— I zostawić cię tutaj? — Pokręciła przecząco głową.

Zachichotał.

— Tego właśnie chciałem się dowiedzieć. Nie przejmuj się. Przestaną nas teraz niepokoić. One nie potrafią odczuwać gniewu, ani złości. A my nie będziemy już dla nich przydatni jako okazy badawcze, ponieważ ich misja zakończyła się porażką. Jeśli nie wrócą na Marsa, umrą.

— Dlaczego?

— Pomyśl, dlaczego zabrały ze sobą, na tak niebezpieczną wyprawę, mężczyznę? Nie po to, żeby zwiększyć swoją liczebność: to była misja przygotowawcza. Mogły sprowadzić mężczyzn później. A więc, mężczyzna musiał być im bardzo do czegoś potrzebny.

Sięgnął po jeden z pistoletów sonicznych, porzuconych przez spanikowane Marsjanki.

— Podejdź tutaj, Gertrudo — zawołał.

Oderwała się od lamentującego kręgu i podeszła do nich powoli, jakby w oszołomieniu.

— Co się dzieje z marsjańską kobietą, jeśli nie zostanie zapłodniona? — zapytał.

— Kiedy nadchodzi czas jej podziału, zasypia — odparła ponuro. — Ale w trakcie podziału, umiera.

— Następne pytanie. Kiedy odlatujecie?

— Natychmiast.

Machnął bronią mniej więcej w stronę żółtych wężownic.
— Oczywiście połączycie się z naszymi rodakami i powiadomicie ich o tym. I niech ktoś przybędzie, żeby nas stąd zabrać.
Wodziła wzrokiem za pistoletem.
— Jesteście już dla nas bezużyteczni. Nie zaryzykujemy życia kolejnego mężczyzny na tej planecie. Nie możemy tu wrócić. Nie ma więc potrzeby, byśmy was zatrzymali. Wypuścimy was.
Uśmiechnął się do Betty.
— No cóż, mała. Czy teraz wyrównaliśmy rachunki? Jest tu paręset wdów na ciebie jedną.
Rozejrzała się dookoła ze smutkiem, ale nie z gniewem.
— Jerry, ja myślałam o Ziemi. Nie tylko o Barneyu.
— Pewnie. Wiem o tym. Wszyscy myśleli o Ziemi. Ale nikt, tak dogłębnie, nie wpadł we wściekłość. Żeby wygrać bitwę trzeba naprawdę ogromnej dozy wściekłości. A Marsjanie po prostu nie potrafią się wściec.

Kiedy wystartowała kopuła, leżał w łóżku, w gipsie. Obserwowali z Betty pozostawianą przez odlatujących Marsjan jasną, żółtą smugę wznoszącą się w nocne niebo i znikającą w chmurach. Szkoda, że nie było widać małej, czerwonej tarczy Marsa.
— Jerry, czemu oni tak okaleczali ludzi? — spytała, siedząc koło niego i wyglądając przez okno.
— Pytałem o to Gertrudę. Próbowali się dowiedzieć dlaczego Ziemianie są odporni na wirusa przenoszącego ich zarazę.
Przerwał i zdecydował, że lepiej będzie ukryć przed nią prawdę.
— Są dobrymi biologami — zaczął mówić dalej. — Chcieli zsyntetyzować żyjącą Marsjankę, z cechami ssaka. Potrafią tworzyć tego rodzaju biologiczne roboty. Chcieli zobaczyć, czy byłaby ona odporna na zarazę.
Jerry zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby powiedział jej prawdę. To nie miała być marsjańska kobieta – tylko ziemska kobieta, wyposażona w geny Marsjan. Ściślej rzecz biorąc – miała to być Betty. Nie spodobałby się jej pomysł matkowania całej gromadzie marsjańskich chłopców – nie spodobałby się jej, nawet jako teoretyczna możliwość, której udało się uniknąć.
Ciągle wyglądała przez okno.
— Trochę mi ich żal, Jerry – w pewnym sensie.
Przyglądał się jej w milczeniu.
— Miliony kobiet – i tylko dwóch mężczyzn — wyszeptała.
— Widzisz, co może się wydarzyć — powiedział, — jeśli za długo będziesz pozostawała w żałobie? I gdyby taka plaga spadła na nas? Jak byś się czuła, gdybyś musiała dzielić męża z tak wieloma innymi?
Szybko wstała, cała zaczerwieniona.
— Muszę już iść, Jerry — odparła nerwowo. — Idę sobie, i bądź… zdrów… w każdym razie, nie próbuj się ze mną zobaczyć…
Ruszyła w stronę drzwi, stanęła i obejrzała się do tyłu.

— …a przynajmniej przez parę miesięcy.

Szybko wyszła z pokoju. Tył jej szyi świecił jasnym różem.

Umościł się wygodnie z uśmiechem na ustach i wsłuchał się w odgłos zaczynającego padać na dworze deszczu. Parę miesięcy? Sucha, bardzo sucha pustynia, czekała dziesięć długich lat.

KONIEC